



Tańcząc Bałuckiego

Jadwiga JAKUBOWSKA

Był świadkiem wielu swoich artystycznych sukcesów. Przede wszystkim jako komediopisarz, choć chwalono go również za teksty prozatorskie (m.in. głośną powieść „Pan Burmistrz z Pipidówki”) i poetyckie (zostawił nam przecież wiersz, który stał się obowiązującą pieśnią biesiadną: *Góralu! czy ci nie żal...*)

JEDNAK najwięcej uznania, ba, nawet holdów przyniósł Michałowi Bałuckiemu teatr. Na konkursie dramaturgii wyprzedził Bałucki... Norwida. Jest to niewątpliwie miara literackiej świadomości epoki, ale i miara znakomicie czującego ówczesną scenę komediopisarstwa. Sukcesy, ogromna ilość premier. Np. tylko w jednym sezonie 1883 r. odbyła się wędrowna *Domu otwartego* przez prawie wszystkie główne teatry kraju. Taki stan rzeczy trwał do 1894 r. Publiczność klaskała i jeśli nawet zdarzył się wstrzemięźliwy głos krytyka Stanisława Krzemińskiego, który odnotował „gruby, nieartystyczny rysunek” — właściwie nie odegrał on poważniejszej roli w kształtowaniu opinii.

Dopiero modernistyczny przełom radykalnie zmienił sytuację. Przedstawił sztuk Bałuckiego coraz to mniej, recenzenckich ataków coraz więcej. I tym razem nie równoważyła ich daleko powściągliwsza w wyrażeniu aplauzu widownia. Padają zarzuty typu: „za male, za łaswe, po prostu banalne”. Zimą 1900 r. Lucjan Rydel pisze o: „składnie starszyzny, od której stęchłąną wiąto”, co brzmi już jak werdykt pokoleniowy. Nowy teatr, mówiący innym językiem, pozostający w kręgu innej problematyki nie chce nawet toczyć sporów o Bałuckiego. Do dyskusji prowokują nie *Grube ryby*,

lecz *Wesele*. Nic, że przecież wkrótce i na planie młodopolskiej sceny wystąpią cienie. Że sam Rydel nie przemówi nową metaforą. Że Kisielewski, którego stawiano Bałuckiemu za wzór, nie spełni nadziei. Lecz jeszcze w 1900 r. przed młodopolskim teatrem otwierały się właściwie niezmiernie perspektywy. Sprawy twórcy *Klubu Kawalerów* znalazła się poza nimi. W kategoriach artystycznych nie wskrzesiło jej nawet samobójstwo pisarza (17.10.1901 r.).

Kiedy trzydzieści lat później dyskutowano nad „pogrobowym zwycięstwem Bałuckiego” (głośny artykuł M. Rulikowskiego), słusznie rzecz osądził Boy. Autor *Grubych ryb* został przede wszystkim mistrzem teatralnej farsy, zykującej z biegiem lat przywileje stylizacji. A że międzywojenny teatr prawidła farsowe znał i cenil (działał przecież mistrzowie gatunku: Œwiklińska, Fertner...), więc *Dom otwarty*, *Grube ryby*, *Klub Kawalerów* znajdowały się w stałym teatralnym obiegu.

Tak proszę państwa bywało, gdy pielęgnowano pewne zwyczaje aktorskiego rzemiosła. Dziś farsa stała się czymś egzotycznym i naszym aktorem coraz trudniej przychodzi grać wedle jej prawideł. Wyrąbane kwestie bez całej gamy min, ochów, achów, słowem farsowych dąsów i gestów tracą cały sens. Widziałam różnych Bałuckich. Przeważnie spektakle kończyły się nie tyle kłę-

ską autora, ile po prostu oddaniem pola przez zespół aktorski. Może być jednak inaczej. Czego przykładem jest najnowsza warszawska inscenizacja *Domu otwartego* w Teatrze Rozmaitości.

Ignacy Gogolewski nie wskrzesza sporów o bałuckość. Nad formą przedstawienia dominuje taniec. Farsowym figurom przewodzi Pulcheria Ireney Kownas. I to jak przewodzi! Nic co farsowe nie jest jej obce, a równocześnie potrafi się sama świetnie bawić stylistyką Bałuckiego. Rola znakomicie zrealizowana, z wielkim rozmachem i ogromnym obyciem komediowym.

Takiej Pulcherii partnerować niełatwo. Zwłaszcza że młodzi wykonawcy nie zawsze czują rytm dialogu. Jest jednak w spektaklu sporo ciekawie zarysowanych postaci (m.in. *Fikałski Maciejka Wolfa*, *Franciszek Romana Kruczkowskiego*). Edward Wichura (*Fujarkiewicz*) ładnie wydobywa sentymentalną otoczkę tej farsowej galerii. O kształt muzyczny dba Tadeusz Woźniakowski. Do pierwowzoru literackiego dostrójone zostały piosenki Bogusławy Czosnowskiej i Zbigniewa Rymara. Pierwszym współtwórcą tanecznej koncepcji reżysera są, naturalnie obok choreografii samej Barbary Fijewskiej — dekoracje Lecha Zahorskiego, pięknie dopełnione kostiumami Michelle Zahorskiej. Na scenie pełno straszylek, ozdóbek, szkaradzieństw, które zauważył autor sto lat temu, a które wracają w coraz to nowej formie. Wszystko zostaje poddane kalejdoskopowej grze światel.

Lech Zahorski obchodzi w *Domu otwartym* czterdziestolecie pracy artystycznej. Przyłączamy się do serdecznych życzeń. Zważywszy znakomitą formę Jubilata, oczekujemy dalszych premier, w których będzie niejeden przypis na temat naszych małych i dużych kółtunierii.

Nie wsparty ani dosłowną tradycją, ani natrętnie aktualizującymi odniesieniami, natomiast wprawiony w taneczny ruch *Dom otwarty* jest spektaklem żywym i autentycznie zabawnym.

PS. Nasza „przeciętna programowa teatralna” wynosi dobrych kilkadziesiąt złotych, co często spełnie nie idzie w parze z zawyżającym ubogim komentarzem, by nie wspomnieć o błędach merytorycznych i redakcyjnych. Dlatego zwracam uwagę na przejrzyste opracowany program *Domu otwartego*, służący zarówno sylwetce autora, jak i koncepcji przedstawienia.